

ate
neum

Teatr



**August
Strindberg**

**TANIEC
SNIERCI**

TEATR „ATENEUM” IM. STEFANA JARACZA W WARSZAWIE

August Strindberg

TANIEC ŚMIERCI

(DÖDSDANSEN) Dramat w dwóch aktach

Przekład ZYGMUNT ŁANOWSKI

Reżyseria

JAN ŚWIDERSKI i ZDZISŁAW TOBIASZ

Asystent reżysera TADEUSZ ZAJĄC (PWST)

Scenografia

FRANCISZEK STAROWIEYSKI

Asystent scenografa

BOŻENA ŁOPACIŃSKA-KRENCIKOWA

Dyrektor

i kierownik artystyczny teatru

JANUSZ WARMIŃSKI

Trzecia premiera w sezonie 1973/74

Osoby:

Kapitan Edgar

JAN ŚWIDERSKI

Alicja, jego żona

ALEKSANDRA ŚLĄSKA

Kurt

JERZY KAMAS

Premiera w czerwcu 1974



ALICJA: ...wydaje mi się czasem, że należymy do przeklętego rodzaju.

KURT: Tak, tak — od pierwszego grzechu.

ALICJA: Od jakiego grzechu?

KURT: Od grzechu pierwszych rodziców.

(A. Strindberg „Taniec śmierci”)



Tomasz Mann

Poznanie dzieła Augusta Strindberga — dzieła niesłychanie prowokującego, rozmiarem i zawartością przerastającego niemal ludzką miarę — oraz wniknięcie w jego, niekiedy groteskowe, niekiedy odrażające, to znów owiane wzniosłym i wzruszającym pięknem człowieczeństwo stanowiło za moich młodych lat nieodzowny składnik wykształcenia i to nie zmieniło się chyba w trzydzieści sześć lat po jego śmierci. Jako twórca, myśliciel, prorok, prekursor nowego spojrzenia na świat za bardzo wybiegał naprzód, aby dzieło jego w najmniejszym bodaj stopniu mogło się zestarzeć i utracić siłę oddziaływania. Stojąc poza szkołami i prądami, a zarazem ponad nimi, Strindberg łączy je wszystkie w sobie. Ten naturalista i neoromantyk jest również prekursorem ekspresjonizmu, zasługując na wdzięczność całego pokolenia, które hołdowało temu kierunkowi, i jest zarazem pierwszym nadrealistą — pierwszym w każdym tego słowa znaczeniu. A przy tym w jego wrodzonym awangardyzmie tkwi wiele stabilizujących elementów tradycji. Jako przyrodnik i mistyk, prawowity następca Celsjusza, Linneusza i Swedenborga, kontynuuje — w nader swoisty, rzecz prosta, sposób — linię myśli szwedzkiego osiemnastego wieku, a wspaniały dział jego twórczości — *Losy i przypadki Szwecji* oraz dziesięć dramatów królewskich — zrodzony z głębokiej zadumy nad przeszłością, ukazuje Strindberga jako wnikliwego interpretatora i piewę narodowej historii.

Swoją biografię ofiarował światu z bezwzględnością, na jaką nie zdobył się chyba żaden twórca i autor wyznań przed nim i po nim. Dominujący tu często sataniczny komizm (coś znacznie głębszego i straszliwszego niż tak zwane poczucie humoru, którego, jak inni wielcy, był zupełnie pozbawiony) jest tylko po części produktem szalonego rozdźwięku między nim a otaczającą go mie-

August Strindberg (1849—1912)

1949

AUGUST STRINDBERG

szczańską społecznością; czuł się w niej intruzem, a mimo wszystko zabiegał u niej o „powodzenie”. Ile w tej rozpaczliwej walce jest irracjonalizmu i demonizmu, o tym świadczy najlepiej stosunek Strindberga do kobiety: polemika z nowoczesną ideą emancypacji odgrywa tu najmniejszą rolę; większą natomiast — odwieczna, mistyczna, śmiertelna nienawiść płci. W żadnej literaturze świata nie znajdziemy komedii bardziej szatańskiej niż jego przeżycia małżeńskie, niż ta niewolnicza zależność od kobiety i ten lęk przed nią, to święte uwielbienie i gloryfikacja monogamicznego małżeństwa i zupełna niezdolność wytrwania w takim związku.

„Złe spojrzenie” na życie albo raczej na to, co człowiek z życia uczynił, dzieli Strindberg z wieloma bratnimi duchami w świecie twórczości literackiej. Jego *Czarne chorągwie* zawierają obrazy z życia sztokholmskiego towarzystwa, które oburzyły jego współobywateli. Ale przecież już Balzac na przykład, którego Strindberg tak bardzo cenił, dał na początku swojej *Dziewczyny o złotych oczach* wielostronicową charakterystykę mieszkańców Paryża, charakterystykę po prostu infernalną i bardzo przypominającą Strindberga.

Myśl o nim kojarzy się zawsze z tym, co największe. Uniwersalizm tego potężnego umysłu można porównać jedynie z wszechstronnością Goethego, którą pod wieloma względami nawet przerasta. Przypominam sobie na przykład, że Eckermann pewnego dnia stwierdza zupełną ignorancję Goethego w dziedzinie ornitologii — a ileż to Strindberg potrafi powiedzieć o gatunkach ptaków, ich śpiewie i życiu, o gniazdach i jajach! Astronomia i astrofizyka, matematyka, chemia, meteorologia, geologia i mineralogia, fizjologia roślin, językoznawstwo porównawcze, asyriologia, egiptologia, sinologia — Strindberg opanowuje to wszystko, ogarnia swoim niezwykłym umysłem — co prawda głównie po to, by zarozumiałej materialistycznej wiedzy XIX stulecia, przekonanej, że rozwiązała zagadkę bytu, dowieść jej bezsiły wobec cudów Boga. (...) Zda-

wać by się mogło, że byłby skłonny raczej uznać gwiazdy za dziury w kopule niebieskiej, poprzez które spływa na ziemię wiekuista światłość, niż uwierzyć w pomiary i obliczenia astronomów. Świadczy o tym w każdym razie nieustraszona odwaga, z jaką traktuje przesady: z jednej strony uważa je za sprawę niedowiarków i bezbożników, z drugiej strony jednak broni ich, powołując się na słowa Goethego, że „przesądna przesadność” (*Aber-Überglaupe*) — towarzyszy silnym i twórczym okresom historii, podczas gdy niewiara jest cechą charakterystyczną epok zmęczonych i bezpłodnych.

W rzeczywistości wielka dziecinna, poetycka dusza Strindberga pełna jest przesądów: na każdym kroku dostrzega on wróżby, tajemne znaki i ostrzeżenia różnych „mocy” i żywi krańcową nieufność wobec wszystkiego, co racjonalne i powszechnie uznane za prawdę. Pamiętam doskonale, że gdzieś w swoich *Błękitnych książkach* opowiada: Pewnego dnia, po sukcesie teatralnym, jaki odniósł poprzedniego wieczoru, dwaj ślepcy, spotkani na ulicy, ukłonili mu się z szacunkiem; od tej pory nie wierzy w ślepotę, a w każdym razie w ślepotę niewrażliwą na powodzenie. Wyznać muszę, że gotów jestem śmiać się do łez z tej historyjki, podobnie jak z innej, o „talerzu kości”, który jego żona postawiła kiedyś przed nim na stole obok karafki wody, by go upokorzyć do ostateczności. Strindberg dodaje: „Gdy zastanowił się obiektywnie nad swym położeniem, uznał za rzecz całkiem nienaturalną, że on, jeden z pierwszych w swoim zawodzie, bez własnej winy musi żyć tak nędznie, iż nawet własna służąca lituje się nad nim.”

Tak, był jednym z pierwszych w swoim zawodzie i działał mu się niezaskuszone krzywda. Była to wspianiała, Bogu oddana i przez Boga udręczona dusza, obca nie tylko społeczności mieszczańskiej, ale w ogóle temu życiu, dusza, która cierpiała straszliwie z powodu zła, brzydoty, kłamstwa i której tęsknota do boskości i piękna dyktowała nieśmiertelne utwory.

Przełożyła Wanda Jedlicka



Nie ma autora o szerszym zasięgu i bardziej prowokującego myślowo. Streszcza się w nim cała historia teatru od roku 1800 do dnia dzisiejszego.

Allardyce Nicoll

Byłem zaskoczony odkryciem tego dzieła, które w sposób imponujący wyraża moją koncepcję miłości: śmiertelną nienawiść dwóch płci w jej środkach, w jej walce, w jej istocie.

Friedrich Nietzsche

Czuję się lepiej, bo przeczytałem Strindberga. Nie czytam go, żeby czytać, lecz żeby przyłgnąć do jego piersi... Potężny Strindberg... Ta wściekłość, te stronic wywalczone siłą pięści...

Franz Kafka

Świat Strindberga nie jest światem samotności; przeciwnie, jest światem wieczystej wymiany, gdzie najsilniejszy zmusza najslabszego, żeby stał się taki, jakim on chciałby go widzieć. Jest to świat uzurpatora, a ofiara uzurpacji z kolei staje się uzurpatorem; spojrzenie, jakie uzurpator na nią rzuca i które ją przetwarza, ona zwraca na inną ofiarę i tak dalej. Piekło jest stałą władzą wszystkich nad wszystkimi, nikt bowiem, nawet bohater, nie osiąga takiego poziomu zróżnicowania, które zapewniłoby mu bezpieczeństwo. Jest to osmoza, na którą nie ma rady.

Arthur Adamov

Dzieło zakorzenia się i znajduje naśladowców dzięki swoim słabościom; im mniej ich posiada, tym bardziej podobne jest do meteorytu, spadłego z jakiejś gwiazdy, którym jest w istocie. Strindberg nas zachwyca, gdyż nie można go sobie podawać z ręki do ręki. Spadł z księżyca. Otacza go pustka, jest szorstki, bije od niego ostre światło. Nie podniesie go każdy, kto chce. Trudno nawiązać z nim kontakt. Można się tylko po prostu uczyć. Nie ma w tym żadnej tajemnicy.

Jean Cocteau

(...) Ten Szwed to w prostej linii potomek tych Normanów, którzy jak historia długa wszędzie byli twórcami czegoś silnego, pięknego, oryginalnego. W nikczemnej epoce wypraw krzyżowych potrafili stworzyć na Sycylii państwo iście rycerskie, które w mrokach owych czasów było ogniskiem ludzkości, szlachetności duszy, największym dobrem, jakie wówczas istniało. Strindberg to ten sam Ragnar Skórzane Spodnie (Ragnar Lodberg, przywódca korsarzy normañskich. Przyp. Red.), który za dawnych dobrych czasów tak lubił „nieść krwawy chrzest” Szkotom i Piktom. To wielki człowiek, serce ma odważne, myśl jasną, nie ukrywa swojej nienawiści, nie ukrywa miłości. I nasze dzisiejsze bydło nie sypia z jego powodu. To człowiek wielkiego serca.

Maksym Gorki
Z listu do Czechowa, 1899



Gunnar Brandell

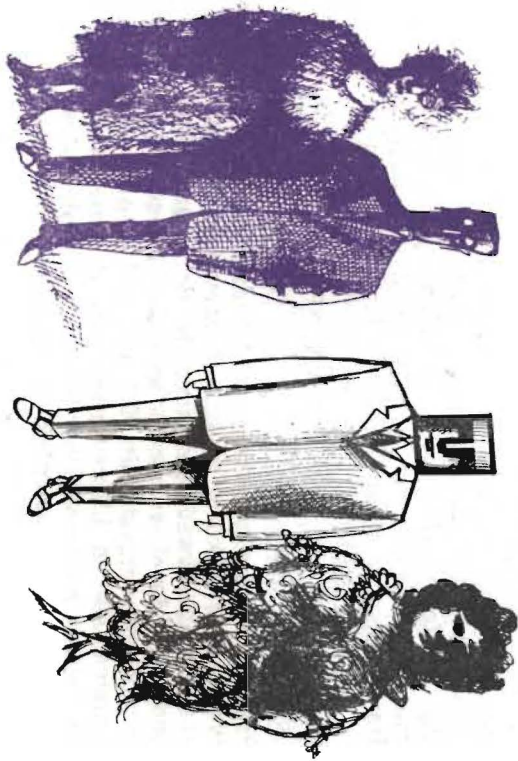
(...) Wszyscy ludzie — twierdzi w nim Strindberg (chodzi tu o esej Strindberga pt. „Moi”. *Przyp. Red.*) — starają się zaakcentować swoje subiektywne poglądy, wszyscy żyją w swoich indywidualnych światach. Symbolem tego nieuchronnego subiektywizmu jest dla Strindberga człowiek, który siedzi na ławce i rysuje na piasku. Zatacza on koło obejmujące jego własny, prywatny świat. W najnowszej dramaturgii ludzie zdają się być zamknięci w podobny sposób w swoich prywatnych światach, oddzieleni granicą, której nie potrafią przestąpić. Czym ta myśl była dla Strindberga, dostrzec można na początku jego pierwszego nowoczesnego — „ekspresjonistycznego”, „symbolistycznego” lub jak kto woli — dramatu, a mianowicie w I części *Do Damaszku*. Sztuka ta zaczyna się od sceny, w której główny bohater, „Nieznajomy”, mniej lub więcej identyczny z autorem, siedzi na ławce i laską rysuje na piasku. Dla człowieka, który zna wszystkie powiązania, znaczy to: tutaj zaczyna się nowy rodzaj dramatu, inny od obiektywnego, naturalistycznego; tutaj będziemy mieli do czynienia z rzeczywistością, która istnieje w subiektywnym przeżyciu jednego, jedyne człowieka.

Linie zainaugurowaną przez Strindberga w późnych jego dramatach prześledzić można w teatrze aż po dni ostatnie. Wielokrotnie stwierdzono jego znaczenie dla ekspresjonizmu, zwłaszcza w Niemczech. Francuski germanista Maurice Gravier postawił sobie za zadanie wyśledzenie wszystkich tropów wiodących od Strindberga do takich pisarzy, jak Hasenclever i Werfel. Jeszcze szersza perspektywa otwiera się, jeśli wziąć pod uwagę, że Strindberg był jednym ze źródeł inspiracji Kafki. Tym samym wyjaśnia się co najmniej godne odnotowania pokrewieństwo między Strindbergiem i grupą najnowszych dramatopisarzy —

jeśli już nie zechcemy otwarcie przyznać, że Strindberg przeczuł lęk naszej epoki. Nieznajomy w sztuce *Do Damaszku* zdaje się na każdym kroku napotykać „trupy, żebraków i obłąkanych”. Gdyby trafił on dziś do teatru, również znalazłby niemal wszędzie trupy, żebraków i obłąkanych, nie tylko u Ionesco, Becketta i Williamsa.

Strindberga trzeba zaliczyć do pionierów-grabarzy klasycznego humanizmu. Jest on równie daleki od humanizmu Goethego, jak od humanizmu mieszczańskiego, który za życia Strindberga uważał się za spadkobiercę humanizmu Goethego. Niemal wszystkie sztuki Strindberga rozgrywają się pozornie w środowisku mieszczańskim, ale doczepiona godność szybko opada z rysowanych przez niego postaci potentatów i zamoznych handlowców i pozostaje w nich tylko żalosna ludzkość. W *Sonacie widm* stary kaleka Hummel siedzi w swoim fotelu niczym wampir, wysysający krew ze swego otoczenia, a papuga-mumia skrzeczy w jego pokoju. To są obrazy samotności i nędzy doli ludzkiej, których potworności nie udało się, na dobrą sprawę, prześcignąć współczesnym dramatopisarzom. Nie brak również u Strindberga czarnego humoru. Gdy w *Grzesnów* dziekani wydziałów zbierają się przed drzwiami, za którymi kryją się niebezpieczne zagadki, to efektu, złożonego z subienicznego humoru i metafizyki, nie powstydziłby się żaden z dramatopisarzy drugiej połowy lat pięćdziesiątych naszego stulecia. Nie ma okolicznościowej przesady w tym, co pisze Adamov, oddając Strindbergowi hołd jako pionierowi i wzorcowi.

Przemiana, zaszła w połowie lat dziewięćdziesiątych, którą tylko w grubszych zarysach starałem się naszkicować, definitywnie doprowadziła Strindberga do obozu nowoczesnych pisarzy; od tego momentu przystał do XX wieku. I w miarę, jak stawał się on bliższy nam, odkąd rozwiano wiele mitów na temat jego osoby i choroby — zbliżył się do nas również na płaszczyźnie literackiej.



Porównanie wielkości latwo może okazać się niesprawiedliwe dla wszystkich zainteresowanych. Dlatego też nie będziemy nawet próbować mierzyć Strindberga np. z Ibsenem czy odwrotnie. Niemniej jest historycznym faktem, że spośród dramatopisarzy końca XIX wieku zaden — nawet Czechow — nie jest dzisiaj tak aktualny jak Strindberg.

(Fragment szkicu opublikowanego w zachodnioniemieckim miesięczniku *Merkur*. Cyt. za mies. *Dialog*, nr 4/1964).

Łukasz Kurdybacha

MAŁŻEŃSKIE INFERNO

(...) W literaturze światowej trudno byłoby znaleźć drugiego obok Strindberga pisarza, którego przeżycia osobiste, sukcesy i zawody życiowe wiązałyby się tak ściśle z jego twórczością literacką. Wszystkie ważniejsze utwory Strindberga są właściwie jego sceniczną autobiografią, literacką transpozycją różnych zdarzeń z jego osobistego życia. *Cała twórczość Strindberga — podkreśla uczonego szwedzkiego Lamm — jest niczym innym jak gigantycznym jego samowcieleństwem.* (...)

Późniejszy dramaturg nie zapomniał nigdy o pochodzeniu społecznym matki *). Po dojściu do pełnoletności nazywał się często synem służącej i nosił się z ambitnymi zamiarami nieubłaganej walki o prawa dla krzyw-

*) Ojciec Strindberga ożenił się ze swoją służącą.

dzonych klas. Praca redaktorska w jednym z radykalnych dzienników szwedzkich wy-dawała mu się najodpowiedniejszą dla realizacji młodzieńczych marzeń. (...)

Ponieważ Strinberg był bijącym w oczy zaprzeczeniem wyśmiewanego w jego artykułach typu dziennikarza, pozbawiono go szybko pracy... Zniechęcony i rozgoryczony dochodzi do przekonania, że pogodzić go z życiem potrafi tylko kobieta. Pierwsza żona, Siri von Essen nie spełniła jednak — podobnie zresztą jak i dwie następne — pokładanych w niej przez Strindberga nadziei. Jako aktorka ciesząca się pewnym powodzeniem prowadziła dosyć niezależny tryb życia, zaniedbując często dom i dzieci. Jej silna indywidualność nie pozwalała jej podporządkować się woli męża. Rozdzwiewki między małżonkami pogłębiały się z każdym

rokiem. Częściowo pod ich wpływem wydał Strindberg w 1884 roku dwutomowe dzieło: *Zonaty*. Wywołało ono wśród czytelników szwedzkich powszechne niemal oburzenie. W niezwykle ostrych, a przy tym dowcipnych wywodach potępił w nim autor nowoczesne kobiety, wykpił ich sentymentalność, pretensjonalność, nieumiejętność prowadzenia gospodarstwa domowego. Nie oszczędził przy okazji klas wyższych, a szczególnie duchowieństwa, któremu zarzucał różnorodne szalbierstwa przy spełnianiu obowiązków religijnych. Sąd szwedzki wytoczył mu proces o bluźnierstwo. W obronie oskarżonego stanęli wszyscy zwolennicy wolności słowa i przekonań, a przede wszystkim robotnicy szwedzcy, którzy go uważali za swego pisarza. Gdy po czterotygodniowej rozprawie zapadł wyrok uniewinniający, Strindberg był witany przez tłumy robotników, którzy w tym dniu nie poszli do pracy, jak największy bohater. Po procesie jednak zaczęła się znowu bardzo ostra

kampania przeciwko głoszonym przez niego poglądom. Arcybiskup szwedzki wyklął nie tylko Strindberga, ale i wszystkich jego zwolenników. Młodzieży szkolnej zabroniono czytać jego utwory.

Tymczasem Strindberg coraz bardziej ulegał schizofrenii. Pod wpływem choroby wydawało mu się, że żona czyha na jego życie (...) W dodatku zaczął powątpiewać, czy żona mu była zawsze wierna, czy dwie córki i syn są istotnie jego dziećmi. W tym stanie rozterki duchowej zaczął w jego umyśle dojrzewać pomysł napisania dramatu na temat odwiecznej walki dwóch płci. *Ojciec* (taki jest tytuł dramatu) miał być początkowo wzorowany na starożytnej tragedii greckiej. Rotmistrz, bohater dramatu, miał być nowoczesnym Agamemnonem z pewnymi rysami Otella. Zgodnie z wymaganiami tragedii klasycznej bohaterka dramatu Laura miała być nieświadoma swego postępowania. Ale w miarę pisania opanowywała Strindberga coraz większa nienawiść do żony.

August Strindberg. Zdjęcie z okresu kryzysu psychicznego w Paryżu (1895)



Laura staje się Siri von Essen, kobietą zbrodniczą nie z woli przeznaczenia — jak w klasycznej tragedii — ani pod wpływem afektu, lecz zgodnie ze swymi instynktami. Zabija ona powoli męża umacnianiem w nim podejrzeń, że ich dziecko nie jest jego dzieckiem. Każdy jej krok jest przemyślany, każdy atak opracowany na zimno w najdrobniejszych szczegółach. Laura doprowadza męża do ataku szału, zarzuca mu kaftan bezpieczeństwa rękoma kochającej go nianki. Oddycha z ulgą dopiero wówczas, gdy lekarz stwierdza śmierć jej męża z powodu ataku szału(...)

Stan umysłu Strindberga po napisaniu *Ojca* pogarszał się z miesiąca na miesiąc. Nocami prześladowały go mary. Pod wpływem dzieł Nietzschego, w których się rozczytywał, oraz korespondencji z nim zaczął Strindberg wierzyć najpierw, że jest drugim wcieleniem Edgara Poe, a później — że jest Bogiem. W okresach polepszenia pracował intensywnie nad dalszymi dramataми. (...)

Gdy znikła już wszelka nadzieja uregulowania stosunków między nimi, Siri von Essen wystąpiła o rozwód, oskarżając męża o brak równowagi umysłowej, okrucieństwo i złośliwe porzucenie. Ponieważ opinia publiczna stanęła po jej stronie, Strindberg napisał książkę *Obrona wariata*, w której we wstrząsający sposób przedstawił dzieje swego małżeństwa. Próba oczyszczenia się z zarzutów nie udała się jednak; zamiast go usprawiedliwić, dostarczała bogatego materiału do przypisania mu całej winy.

Zupełne niemal osamotnienie i prawie wrogi stosunek opinii publicznej spowodowały, że Strindberg po raz drugi opuścił Szwecję i udał się najpierw do Kopenhagi, a później do Berlina. (...) W tym okresie poznał w Berlinie Stanisława Przybyszewskiego i zaprzyjaźnił się z nim na krótki okres czasu. (...)

Drugie małżeństwo Strindberga, zawarte w roku 1893 w Berlinie z dziennikarką austriacką Fridą Uhl, również nie potrafiło go

pogodzić z życiem. Przyznać trzeba, że Frida Uhl miała jak najlepsze intencje. Ale już po roku doszli obydwój do przekonania, że dalsze ich współżycie jest niemożliwe. (...)

Przez następne dwa lata Strindberg żył w Paryżu na wpół obłąkany. W ostatniej nędzy spędzał dnie i noce nad chemicznymi tyglami, wierząc, że dokona epokowych odkryć. Chemikalia, które mu przeżarły ręce aż do kości, uważał za złe duchy, starające się mu przeszkodzić w wydarciu im tajemnicy. Halucynacje, w których poważną rolę odegrało widmo Przybyszewskiego, dręczyły go coraz częściej. Gdy doszedł do przekonania, że wszystkie jego niedomagania umysłowe są karą wyższych potęg za usiłowanie wynalezienia syntetycznego złota, porzucił badania chemiczne i w roku 1896 wrócił do Szwecji. Równowaga władz umysłowych zaczęła mu powoli wracać. Wprawdzie jeszcze przez parę miesięcy rozczytywał się w dziełach Swedenborga i korespondował z towarzystwami okultystycznymi w Paryżu, ale

już w roku 1898 rozpoczął znowu ożywioną działalność literacką.

Ostatni, cztertnastoletni okres (1898—1912) twórczości dramatycznej Strindberga odznacza się wyraźną dwukierunkowością. Szereg dramatów historycznych, jak: *Gustaw Waza*, *Eryk XIV*, *Karol XII* i inne są kontynuacją prądu naturalistycznego w literaturze. (...) Drugi natomiast kierunek twórczości Strindberga poszedł zupełnie innymi drogami. Autor *Ojca* i *Panny Julii*, przeszedłszy szczęśliwie okres choroby umysłowej nazywanej przez niego piekłem (inferno), zerwał niemal zupełnie w dramatach autobiograficznych z naturalizmem i stał się pionierem ekspresjonizmu.

(Fragmenty artykułu
W stulecie urodzin Strindberga
„Twórczość” nr 3, marzec 1950 r.).



August Strindberg

(...) Gdyby człowiek niedoświadczony wiedział, jakie cierpienie niesie ze sobą rozejście się dwojga małżonków, namyśliłby się dobrze, zanim wkroczyłby na tę drogę. Obie dusze zrosły się już tak bardzo, że oderwanie jednej osobowości staje się operacją najboleśniejszą, jaka w ogóle istnieje. Jest to pewnego rodzaju śmierć.

Gdy wyrwiemy chwast rosnący wokół kwiatu, kwiat marnieje po części dlatego, że uszkodziliśmy jego korzenie, po części zaś, że pozbawiliśmy go cienia, wilgoci, podpory, może tylko towarzysstwa.

Strapienie jest w tym wypadku takie samo, jak po czyjejs śmierci, lecz nie jest ono tak budujące i uszlachetniające. Istota, która odeszła, trwa mimo to przed oczami opuszczonego małżonka i we wspomnieniu osiąga apoteozę: znika wszelka szpetota, pojawiają się zarzuty, pustka tęsknoty domaga się pokarmu; ta, która odeszła, porwała mu duszę na strzepy; zabrała ze sobą najsubtelniejsze korzenie tej duszy, pozostawiając uczucie powolnego umierania z upływu krwi...

Skoro zniknęły iluzje pierwszych wiosennych dni miłości, zachwiała się wiara we wszystko. Krzyk cierpienia przesywa świat, jak gdyby popełniono zbrodnię; i to taką, której nie da się już naprawić, jak grzech przeciwko duchowi świętemu. Miłość, twórcza moc Boga, ciepło słoneczne nieba, źródło życia — przestała istnieć; wracają ciemności i chaos. Jest to duchowa śmierć, bez pociechy, bez nadziei.

Jednakowoż coś pozostaje, jeśli to coś istniało. Jeżeli nawet obie strony zawrą nowe małżeństwa, pozostaje wspomnienie o pierwszym. Nie da się go wymazać, nie da się zapomnieć. Choćby wzajemne stosunki były nie wiem jak obrzydliwe, w najlepszych godzinach stanowiło ono coś, czego tu na ziemi nie można znaleźć. W swych

ZGUBIENI NA ZAWSZE!

wspaniałych początkach było rajskim ogrodem rozkoszy, takim wzlotem istnienia, że człowiek czuł się bliższy bóstwa. Nie było to złudzenie, lecz wyższa rzeczywistość.

A później przyszedł grzech pierworodny, a z nim wygnanie z raju.

Ale wspomnienie o tym pierwszym pozostaje, i prawdą jest, że prawdziwa miłość nie kończy się nigdy...

Według teorii reminiscencji Platona i reinkarnacji teozofów można by przecież sądzić: jeżeli dwoje ludzi spotyka się i łączy w wielkiej miłości, jest to tylko ujrzenie się ponowne. I całe piękno, jakie widzą później dokoła siebie, jest odbłaskiem wspomnień o dalekich, pięknych okolicach, gdzie spotykali się przedtem, a które sobie teraz przypominają. Ciągłe iluzje miłości byłyby więc związane z przeżyciami, jakie stały się ich udziałem po tamtej stronie; przeżyciami, które pojawiają się teraz, od strony, gdzie wszystko jest doskonałe i piękne. Dlatego też straszne jest przebudzenie ze stanu szczęśliwości, kiedy widzimy, że tu na ziemi wszystko zostało zniekształcone, wszystko stało się karykaturą, nawet miłość.

* * *

(...) Upłynęło siedem lat małżeństwa; nie dbali o tę lampę, lecz ona tak dymiała, że w pięknym domu wszystko stało się czarne. Teraz każde siedziało w swoim końcu mieszkania, ponieważ nie mogli sobie spojrzeć w oczy. Opłakiwali siebie wzajemnie jak zmarłych i odczuwali swą nieobecność jak zagubione dzieci.

I oto on otwiera szufladę i wyjmuje z niej szkatułkę. Pokój wypełnia się wonią świeżych róż, choć wydzielają ją suszone różane płatki, wciśnięte pomiędzy kartki papieru.

To są jej listy, listy jego narzeczonej, które pisała siedem lat temu. Jakie to wszystko piękne: papier o nie wyblakłym jeszcze subtelnym kolorze lawendy, ze złożonym brzeżkiem, zupełnie jak

kieliszki weselne; koperty złożone tak starannie, jak haftowane poszewki poduszek w kołysce; litery o pięknych liniach łagodnych słów, płynących z pięknych ust, które uśmiechają się leciutkim skrzywieniem.

Piękno i miłość w myślach i uczuciach — czyżby odnalazł je znowu? Leżało w tej szkatułce, zabalsamowane płatkami róż i fiołków!

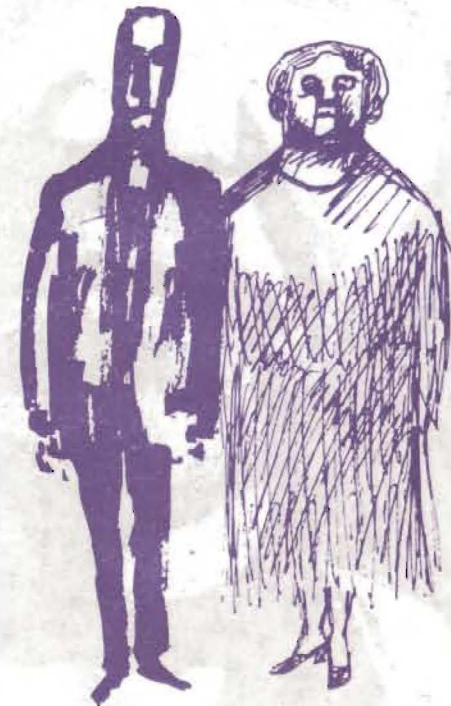
Ale teraz jest martwe! I oto on płacze!

A na drugim końcu mieszkania siedzi ona nad swoim małym sarkofagiem i rozmawia ze swym kochanym zmarłym. I oto ona płacze!

Zgubieni na zawsze!

Na zawsze!

August Strindberg — *Księga miłości*
(Fragmenty, wg programu Landestheater
Darmstadt *Darmstädter Forum*)
Przełożył: Zbigniew Krawczykowski







„Po co mamy grać dalej komedię miłości, skoro się nienawidzimy wzajemnie. Ty mnie nienawidzisz z powodu własnej niższości; ja jestem tą wyższą istotą, która cię obdarzyła szczęściem. Ja cię nienawidzę jak wroga, ponieważ postępujesz jak wróg... Twoja siła jest oparta na okrucieństwie; potrzebujesz stałej ofiary, na której mogłabyś praktykować swoje szaleństwo. Nie chcę dłużej spełniać tej roli i dlatego odchodzę. Rozglądnij się za innym mężczyzną.”

(Z listu Strindberga do drugiej żony — Fridy Uhl)



Denis de Rougemont

Jeśli rozum jest bezsilny wobec prawdziwej namiętności, to równocześnie nie potrafi też działać skutecznie, by uzasadnić małżeństwo. Najróżniejsze argumenty, jakie wybitne umysły przeciwstawiają małżeństwu, zachowują swą wartość w polemice.

Zawsze raczej filistrów źle się czuły w zetknięciu z ironią romantyków, lecz w pełni do odwrotu zmusza je życiowa prawda faktów. Słynny „pokój domowego ogniska” istnieje tylko w płaszczyźnie przeciętnej retoryki politycznej, mieszczańskiej lub moralistycznej. Tolstoj przedstawił go jako piekło; trzeba, niestety, ufać kompetencji tego pisarza. Zastanówmy się zresztą. Jeśli pojedynczy osobnicy obu płci są, ogólnie rzecz biorąc, łajdakami lub neurastenikami, dlaczego połączeni w pary mieliby się stać aniołami. Sugerując taką przemianę, ignoruje się rzeczywistość i zastępuje ją frazeologią, ponieważ nie ma się poważniejszych argumentów. Otwórzcie pierwsze lepsze drzwi! Zobaczycie, jak wygląda cisza, w której znużony pracownik, wracający wieczorem do domu ma odzyskać siły. W dziewięciu wypadkach na dziesięć jest to przejście od podniecenia powszednimi kłopotami do szalonego wrzasku. Spróbujmy nagrać na płycie przypadkowo wybraną scenę familijną mieszczańskiego lub robotniczego środowiska; wynik usprawiedliwi od razu istnienie cenzury.

Tak, romantycy mają rację i realisci mają rację. Intelktualiści także mają rację, gdy deklarują z profesjonalną świadomością, że trzeba wybrać: albo się tworzy książki, albo dzieci. Aut liberi aut libri — powiedział Nietzsche.

Kierkegaard zaś ma słuszość jeszcze bardziej niż wszyscy inni, gdy najpierw sławi namiętność jako najwyższą wartość estetycznej fazy życia, następnie przewycięża namiętność, wysławiając małżeństwo jako najwyższą wartość etycznej fazy życia (to jest „pełnia czasu”), wreszcie potępia małżeństwo jako największą przeszkodę w religijnej fazie życia, ponieważ małżeństwo wiąże nas z czasem, podczas gdy wiara pragnie wiecz-

ności... Kierkegaard potępił najpierw pastorów, którzy odrzucali celibat, następnie Lutra i Kalwina (którzy zeniłi się), następnie Ojców Kościoła, dlatego, że chwalili małżeństwo, wreszcie św. Pawła dlatego, że je tolerował... Jak odeprzeć argumenty tego szaleńca? Niewierzających odesłał do twierdzeń romantyków, które stanowią przeciwstawienie moralistyki. Wierzących zaś skierował do argumentów św. Pawła, które przeciwstawiają się ludzkim skłonnościom. Co zaś mówi Apostoł?

„...dobrze jest człowiekowi nie łączyć się z kobietą. Ze względu jednak na niebezpieczeństwo rozpusty, niech każdy ma swoją żonę, a każda swojego męża. (...) Żona nie rozporządza własnym ciałem, lecz jej mąż, podobnie też i mąż nie rozporządza własnym ciałem, ale żona. Nie unikajcie jedno drugiego, chyba że na pewien czas, za obopólną zgodą, by oddać się modlitwie; potem znów wróćcie do siebie, aby — wskutek niewstrzemięźliwości waszej — nie kusił was szatan. To, co mówię, pochodzi z wyrozumiałości, a nie z nakazu. (...) Lepiej jest bowiem żyć w małżeństwie, niż płonąć w ogniu (...) Zresztą niech każdy postępuje tak, jak mu Pan wyznaczył, zgodnie z tym, do czego Bóg go powołał (...) Niech przeto każdy, bracia, trwa u Boga w takim stanie, w jakim został powołany. (...) ci, co używają tego świata, tak (trzeba, aby żyli) jakby zeń nie korzystali. Przemija bowiem postać tego świata” (I List do Koryntian, VII, 1—2, 4—6, 9,17,24,31).

A oto ostatni cios:

„Człowiek bezżenny troszczy się o sprawy Pana, o to, jak by się przypodobać Panu. Ten zaś, kto wstąpił w związek małżeński, zabiega o sprawy świata, o to, jak by się przypodobać żonie”. (List do Koryntian, VII, 32—33).

(...) Gdy rozmyślamy nad znaczeniem wyboru jednej kobiety na całe życie, dochodzimy do konkluzji: wybór kobiety oznacza losowanie.

Mądrość ludowa i mieszczańska poleca młodemu człowiekowi zastanowienie się przed powzięciem decyzji. Podtrzymuje w ten sposób złudzenie, że wybór kobiety zależy od pewnej liczby argumentów racjonalnych, które można zważyć w myśli. Takie przekonanie jest wulgarnym błędem zdrowego rozsądku. Jeśli nawet w punkcie wyjścia zgromadziliśmy wszelkie szanse po swojej

stronie — zakładając przy tym, że życie użyczy nam dość czasu, byśmy mogli przeprowadzić pełną kalkulację — to nigdy nie potrafimy przewidzieć przyszłego swojego rozwoju, jeszcze mniej rozwoju wybranej przez nas małżonki, a w jeszcze mniejszym stopniu wspólnego rozwoju uformowania stadła małżeńskiego. Zbyt różne czynniki, nie podlegające prawidłowości, wchodzą tu w grę. (...) Trzeba było, tak twierdzi nauka, wiele setek tysięcy lat, ażeby natura dokonała wyboru najlepiej dostosowanych do życia gatunków. My zaś pretendujemy do rozwiązania za jednym zamachem, w ciągu jednego życia, problemu wzajemnego przystosowania się dwóch istot fizycznych i etycznych najwyżej zorganizowanych! (Tymczasem takiej właśnie utopijnej koncepcji jest bezwiednie posłuszny człowiek nieszczęśliwy w małżeństwie, gdy przekonuje sam siebie, że druga lub trzecia próba zbliży go w wyczuwalny sposób do „szczęścia”. Wszystko jednak w istocie ukazuje nam, że sto tysięcy prób nie wystarcza dla ukonstytuowania pierwszych bełkotliwych zasad wiedzy o szczęśliwym małżeństwie, która byłaby oparta o doświadczenia). Trzeba uczciwie stwierdzić: problem wysunięty przez praktyczne potrzeby instytucji małżeńskiej jest przynajmniej równie nierozwiązywalny, jak zdolny do rozwiązania wydaje się zwolennikom racjonalistycznej metody.

(...) Z tych rozważań wynika konkretna konkluzja. Bardziej zgodne z istotą małżeństwa i z rzeczywistym stanem rzeczy byłoby pouczenie młodych ludzi, że ich wybór ma zawsze charakter dowolny i jest zobowiązaniem do przyjęcia konsekwencji własnej decyzji, szczęśliwych lub nie. Nie oznacza to pochwały „szaleństwa”, należy bowiem przyjąć, że byłoby głupim postępowaniem rezygnować z rachunku tam, gdzie jest on możliwy. Chcę jednak stwierdzić, że gwarancja związku pozornie racjonalnego nigdy nie leży w tych pozorach. Jest natomiast w irracjonalnym wyniku decyzji powziętej na przekór wszystkiemu, tworzącej nową formę egzystencji, inicjującej nowe ryzyko.

Denis de Rougemont
Miłość a świat kultury zachodniej
fragmenty Księgi VII
Przełożył: Lesław Eustachiewicz



Marcin Czerwiński

Małżeństwa w pokoleniach poprzednich były przez okoliczności zewnętrzne (i przywiązane do nich ideały) znacznie uodpornione na ową chwilę, gdy diabeł przychodzi powiedzieć „dzień dobry”. Ci, którzy nie czuli się zespoleni przez postępujące starzenie, lecz — przeciwnie — byli przezeń odsuwani od siebie, którzy się rozczarowali co do swych motywów lub co do wyboru partnera, których dopiero później ktoś inny rozbudził, którzy odczuwali rosnącą nudę codziennej rutyny współżycia — wszyscy oni, nim stanęli przed pokusą odejścia lub pokusą stworzenia sobie drugiego życia, zdążyli już w zawartym związku małżeńskim obrosnąć nie zawsze może we wspólną treść, niemal zawsze natomiast w okoliczności wikłające.

Dom był instytucją o wyraźnej budowie, o dużym ciężarze społecznym. Był u niezamożnych szansem przed złym losem, a w warstwach zamożniejszych — instytucją o licznych i kosztownych wykładnikach rzeczowych. Dom w o wiele większej niż obecnie mierze był terenem życia towarzyskiego. Nie tylko ciasnota mieszkań odsuwa dziś rozrywkę poza obręb domu. Większa część ludności miast nie doznała degradacji w materii mieszkaniowej, jest nawet przeciwnie. Zmienił się tu natomiast w ogólności styl. Rozsypał się dawny wzorzec... Zmalał prestiż domu jako miejsca atrakcyjnego, uprzywilejowanego lub wyróżnionego. (...) Dawna twierdza rodzinna realizowała się w warstwach zamożnych w oparciu o suity ekwipunek materialny, ale wzór — jedyny — promieniował powszechnie, nie wpływając tylko na świadomie zbuntowanych przeciw „stylowi mieszczańskiemu”. Tamten dawny dom był trudno podzielny. Istnienie jego opierało się na wyraźnie rozdzielonych funkcjach. Kobieta była w nim nie tylko zamknięta, na szczęście dla siebie

inwestowała weń wiele na swój odrębny sposób. Dawała mu nie byt materialny (w zasadzie dzieło mężczyzny), ale ów niezbędny rytm fizjologiczny: porządek zajęć dzieci, prac kuchennych i stałość pór posiłków, i poziom przyjęć urządzanych dla gości, i regularność trzepania portier.

(...) W owej niewiadomej zaś chwili, kiedy diabeł domowego ogniska przychodzi powiedzieć „dzień dobry”, szanujące się małżeństwo tkwiło w pierścieniu wspólnych instytucji — posiłków i pokoju dzieciennego, przyjęć dla kolegów męża, a nade wszystko dla krewnych, „którzy tak lubią ten uroczy dom Stasiów czy Józiów”, i dawno już starannie urządzonego mieszkania. Wszystko to było trudno wymienialne, żal było wszystko to opuścić.

W dawnym małżeństwie, w instytucji dawnego domu, „był wyprzedzał świadomość”, budował dla świadomości uchwyt. Scenariusz wspólnej egzystencji, jej racje wpisane były w rzeczy, w układy obiektywne. Dodać trzeba, że więziom rzeczowym przychodziła z pomocą opinia rządzona dogmatem obyczajowym. Opinia o sile miażdżącej. Sąsiedzi i ksiądz proboszcz, znajomi i krewni jednakowo potępiali nie rozwód nawet — ten był niemożliwy — lecz widoczne objawy kryzysu w świadczeniu sobie powinności małżeńskich.

(...) W odróżnieniu od małżeństw dawnych, współczesne skazane są — z braku podpórek i barier instytucjonalnych — na autentyzm przeżyć. Rzekłbym: na przerażający autentyzm. Scenariusz wspólnej egzystencji, jej racje muszą być snute przede wszystkim ze świadomości. Utrzymanie się razem nie jest dostatecznie poręczone przez okoliczności. Świadomie pomijam tu prawną i obyczajową łatwość rozwodu. Mam na myśli okoliczności współżycia. Dom nie jest uchwytem, podział praw i obowiązków nie czyni z kobiety i mężczyzny, w tej mierze co ongi, dwu dopełniających się elementów instytucji społecznej. Wykruszyły się wsporniki: rozpaczliwy sojusz biedaków, zawarty w obliczu przeciwności,

własność otoczona blaskiem szczególnego szacunku, monopol na pedagogikę pozaszkolną, funkcja jedyne ogniska życia towarzyskiego, nie dająca się zastąpić baza dla wiktury, opierunku i reperacji. Wzrosła ilość czynników działających odśrodkowo, jak choćby samodzielność kobiet, jak policentryzm towarzyski czy owa okoliczność, że tak wiele kobiet ma przedłużony okres dojrzewania obywatelskiego i że to dojrzewanie nie kształtuje się pod wpływem domu. (...) Dojrzałość obywatelska kobiet pracujących kształtuje się podobnie, jak to ma miejsce z mężczyznami. Jej termin bliższy jest trzydziestki niż dwudziestki. Stąd też dopiero po kilku latach wspólnego życia kobieta i mężczyzna osiągają pełną dojrzałość społeczną. Inaczej jednak niż dawniej uformowani są przez okoliczności, wprawdzie podobnego rzędu, lecz przeżywane osobno, konkurencyjne względem siebie. Często dzisiaj dojrzałość kobiety nie realizuje się w kręgu spraw wybranego przez nią mężczyzny, może zaś realizować się na przekór tym sprawom.

Istnieją jeszcze rzadkie domy-twierdze, trwające mocą ciąglej, nieskruszonej tradycji. Zauważa się także tendencje, które zdają się świadczyć o chęci odbudowania czegoś z dawnego wzorca. (...) Wzrosła troska o ekwipunek domu, wzrosły oszczędności na ten cel. Wydaje się jednak, że relikty dawnego stylu, silniejsze działanie więzi bytowej w wielu środowiskach oraz pewne nowe próby bytowego wzmocnienia spójności domu nie są w stanie odwrócić przemian podstawowych. Zbudowana dzisiaj od nowa, pozbawiona zabytkowej legitymacji, twierdza taka byłaby dziwactwem wyczutym z wszelkiego prestiżu i zięjącym nudą. Takie jest bowiem działanie wzorca kulturalnego. Współczesny wzorzec stał blask szczytnego powołania z tej „rolu wtórnej”, jaką spełniała kobieta, i odebrał szacunek dawnej twierdzy.

Małżeństwo, w którym „świadomość musi wyprzedzać byt”, stawia w nowym świetle problemy, konflikty, korzyści współżycia. Dawny styl

obyczajowy z dużym zaufaniem zdawał te sprawy więziom rzeczowym i rytualnemu wsparciu opinii. Powieściopisarz i moralista uważali swój obowiązek społeczny za spełniony, gdy doprowadzili parę do ołtarza. Opisując na ogół życie warstw zamożniejszych, z całym spokojem zostawiali ją następnie pod szantażem portier, przyjeżdż, kuchni i pokoju dziecinnego, pod szantażem przedsiębiorstwa, księdza i plotki. A naprawdę bezkompromisowy „roman d'amour” rozgrywał się przeciwko instytucji małżeństwa. W kulturze europejskiej ma to niezmiernie starą tradycję, która dopiero w naszej dobie wydaje się urywać. Od Tristana i Izoldy, poprzez Paola i Franceskę, aż do Wokulskiego i Izabeli miłość pełna i bezkompromisowa oznaczała sprzeciw wobec warunków, na jakich ukonstytuować się mogło małżeństwo i za sprawą których mogło trwać. Te mity literackie stanowiły jakby rekompensatę małżeńskich przymusów, przywracały wyobraźni właściwą miarę. Ich tragiczny z reguły finał pozwalał, jak się wydaje, docenić jednak równocześnie wartość bezpiecznej rodzinnej przystani. Osobliwością naszych czasów jest to, że w małżeństwie tak bardzo osłabła strona instytucjonalna, że jest ono w niewielkim stopniu przedsiębiorstwem czy szansem, że nie jest wreszcie jedyną sytuacją kobiety. Czy nie zachodzi dziś możliwość napisania nowego wariantu romansu: całkowicie bezkompromisowego „roman d'amour”, którego bohaterka byłaby już poślubiona nadal walczącemu o świeżość jej uczucia kochankowi-mężowi? Na przekór konwencjom literatury byłiby już oni nie pierwszej, lecz drugiej młodości, mieliby też za sobą spotkanie z diabłem.

Marcin Czerwiński
Przemiany obyczaju
PIW, 1969



CO TRZECIE MAŁŻEŃSTWO w Stanach Zjednoczonych kończy się rozwodem. Przyczyny tej prawdziwej epidemii bada na łamach *New York Times* Steven V. Roberts, opierając się na badaniach socjologów, fizjologów, seksuologów, a także filozofów.

Wśród przyczyn na pierwszym miejscu plasuje się „luka w komunikacji”, czyli — po prostu — niemożność zrozumienia się. Stowarzyszenie Pomocy Rodzinom twierdzi, że ów „brak komunikacji” jest przyczyną rozwodów w 87%. Dr Richard E. Farson uważa, że małżonkowie oczekują od małżeństwa wszystkiego — uczucia, przynależności do siebie, intymności, miłości, „niesień najwyższych”. Po czym przychodzi rozczarowanie, które niemożność wzajemnego porozumienia się — tylko potęguje.

Dr Farson jest także zdania, że filmy, a jeszcze bardziej telewizja, potęgują dysproporcje między oczekiwaniami a rzeczywistością. Film i telewizja przekazują społeczeństwu obraz „słodkiej jak syrop” rodziny. *Rodziny autentyczne* — pisze dr Farson — *wnioskują z tego, że osiągalny jest stan stałego uczucia i jedności w rodzinie, co z kolei wywołuje niezadowolenie ze stanu w rodzinie własnej.*

Rozwój „ruchu wyzwolenczego” kobiet ma także poważny wpływ na rozpowszechnienie się rozwodów. W liście do *New York Times* dr Paul E. Kaunitz, psychiatra ze stanu Connecticut, pisze: *Skargi żon sprowadzają się do stałego twierdzenia: Muszę odkryć swą tożsamość. Nie mogę być niewolnikiem i prostytutką. Muszę odnaleźć swą niezależność.*

Roberts cytuje wypowiedź 36-letniej kobiety, matki dwojga dzieci, która ni z tego ni z owego, bez żadnej widocznej przyczyny zażądała od męża rozwodu i otrzymała go. *Poczułam, że muszę wyzwolić się ze starych rzeczy — powiedziała. — Mąż był jedną ze starych rzeczy. Zaczęłam chodzić na randki i poczułam się znowu młoda.*

Zgodnie z badaniami Roberta, jedną z poważnych przyczyn rozwodów w Ameryce jest zmie-

nione pojęcie o seksie. Dawniej małżeństwo było jedynym „legalnym” sposobem seksualnego wyżywania się. Dziś — według socjologów amerykańskich — małżeństwo stało się ku temu przezkoczą. Ralph Keyes, autor książki pt. *My, samotni ludzie*, stwierdza, że w dzisiejszym amerykańskim społeczeństwie przesiąkniętym seksem w różnej formie — od reklamy począwszy do pornografii — mężczyźni i kobiety są nieustannie seksualnie podniecani.

Tradycyjnymi przyczynami rozwodów w Stanach Zjednoczonych było zawsze pijaństwo męża i odmowa utrzymywania domu. Pozostają one nadal, lecz wzbogaciły się o te, o których mówiliśmy wyżej.

Ale na tym nie kończy się ten długi rejestr. W wielu stanach złagodzono ustawodawstwo dotyczące rozwodów. W Kalifornii i w innych stanach dopuszczono rozwód bez orzekania o winie. Powstały finansowane przez rząd federalny czy przez stany biura adwokackie, udzielające pomocy prawnej ludziom niezamożnym, co także wpłynęło na rozpowszechnienie się rozwodów. Wreszcie — ruchliwość społeczeństwa amerykańskiego i zwyczaj pracy w mieście, a życia w „suburbiach”.

(...) Te wszystkie rozważania prowadzą niektórych do wniosków skrajnie pesymistycznych. Stuart Walzer, adwokat z Los Angeles, uważa, że małżeństwa dawne, oparte nie na uczuciu, ale na dążeniu do znalezienia przez kobietę stabilności ekonomicznej u męża i na chęci rodzenia dzieci, były trwalsze niż małżeństwa obecne.

Ale inni naukowcy uważają, że w niedalekiej przyszłości musi nastąpić przesilenie, że Amerykanie powrócą do swego dawnego trybu życia, który charakteryzował się m.in. tym, że polityk bez rodziny — kawaler lub rozwiedziony nie miał najmniejszych szans.

Z.B.

Trybuna Ludu z dn. 26 I 1974 r.

I. Punktem wyjściowym rozważań związanych z orzecznictwem w sprawach o rozwód jest realizowana przez Państwo Ludowe zasada ochrony i umocnienia rodziny, która znalazła wyraz w projekcie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Podstawą rodziny jest małżeństwo, stąd też postępowanie małżonka powodujące zerwanie małżeństwa z reguły spotkać się powinno z negatywną oceną sądu.

(...) Zasada trwałości małżeństwa nie może być jednak utożsamiana z formalną nierozzerwalnością węzła małżeńskiego, która ma źródło w nakazach dogmatu religijnego. Oceniając ujemnie zerwanie węzłów rodzinnych, Państwo Ludowe nie może zarazem zamykać oczu na społeczną szkodliwość martwych związków małżeńskich i dlatego odrzuca zasadę formalnej nierozzerwalności węzła małżeńskiego. Trwałość małżeństwa musi być osiągnięta poprzez świadomość społeczną małżonków oraz wynikający z niej poważny i odpowiedzialny stosunek do obowiązków względem rodziny.

Jeśli związek małżeński z ważnej przyczyny znajduje się w stanie trwałego i zupełnego rozkładu, jeśli małżonkowie nie wykonują obowiązków wspólnego pożycia, wierności, wzajemnej pomocy oraz współdziałania dla dobra rodziny, którą przez swój związek założyli (art. 14 kod. rodz.), i skutkiem tego małżeństwo nie spełnia swych funkcji społecznych, prawo Polski Ludowej, nie rezygnując bynajmniej z ujemnej oceny społecznej tego zjawiska, dopuszcza możliwość rozwodu.

Rozwód jest więc złem koniecznym (podkr. aut.), wprowadzonym w imię interesu społecznego dla eliminacji innego zła społecznego, jakim byłoby utrzymywanie formalnego węzła małżeńskiego, gdy znikła wspólnota małżeństwa, gdy małżeństwo faktycznie nie istnieje i nie ma szans na dalsze jego funkcjonowanie (wytyczne SN z dn. 26 IV 1952 r., OSN 1/1952).

ROZKŁAD POŻYCIA

1. Istota rozkładu pożycia.

(1) Zgodnie z art. 29 § 1 kod. rodz. zasadniczą przesłanką rozwodu jest istnienie powstałego z ważnych powodów zupełnego i trwałego rozkładu pożycia małżonków. Dlatego też w każdej sprawie o rozwód sąd obowiązany jest przede wszystkim wy-

jaśnić, czy rozkład istotnie nastąpił (podk. aut.).

(2) Pożycie małżeńskie wyraża się w szczególnego rodzaju wspólnocie duchowej, fizycznej i gospodarczej (podkr. aut.). W zasadzie ustanie któregokolwiek z elementów tej wspólnoty należy uznać za objaw rozkładu pożycia, nie przesądzając na podstawie tego tylko objawu stopnia rozkładu. Jednakże ustanie wspólnoty fizycznej lub gospodarczej może w konkretnym przypadku nie stanowić objawu rozkładu, jeżeli wynika ono z okoliczności niezależnych od małżonków lub z ich zgodnej woli uzasadnionej okolicznościami życiowymi. (...) Brak natomiast wspólnoty duchowej (jej istnienie może się przejawiać nawet tylko w korespondencji) będzie zawsze objawem rozkładu pożycia.

(3) Do uznania, że między małżonkami brak jest wspólnoty duchowej (podkr. aut.), nie jest konieczne stwierdzenie wrogiego lub choćby niechętnego stosunku do siebie. Zachowanie poprawnych stosunków, utrzymywanie kontaktów w interesie wspólnych dzieci itp. nie musi konieczności oznaczać, iż więź duchowa małżonków została utrzymana i rozkład pożycia nie istnieje. Chodzi bowiem nie o jakąkolwiek więź duchową pomiędzy dwojgiem ludzi, lecz o więź charakterystyczną dla duchowej wspólnoty małżeńskiej. (...)

ZNIEWAGA

„Nawet jednorazowy postępek małżonka może stać się przyczyną trwałego i zupełnego rozkładu; dotyczy to w szczególności takich faktów, jak cudzołóstwo i ciężka zniewaga. Reakcja małżonka w formie ciężkich zniewag na nieodpowiednie zachowanie się drugiego małżonka jest niedopuszczalna i nie można przyjmować w tym zakresie żadnej kompensaty” (OSN 9/1953).

Doświadczenie wskazuje, że normalnie zniewaga drażni stosunki między ludźmi i dlatego bywa przyczyną lub współprzyczyną częściowego lub zupełnego rozkładu pożycia małżonków. Dotyczy to zarówno wypadków zniewag słownych, jak i faktu uderzenia współmałżonka w twarz (OSN 69/1952).

„Reakcja jednego z małżonków w formie ciężkich



zniewag na nieodpowiednie zachowanie się drugiego jest niedopuszczalna. (...)

Jeśli zniewagi ze strony jednego małżonka zostały wywołane zachowaniem się drugiego małżonka, sąd może dojść do przekonania, że są one do pewnego stopnia usprawiedliwioną reakcją i nie mogą być poczytane za tak ciężką zniewagę, iżby uzasadniała orzeczenie rozwodu; jednak reakcja ta musi mieć pewne granice, uzasadnione chwilowym wybuchem czy bezpośrednim odwzajemnieniem doznanej urazy" (orz. SN z dn. 28 IV 1949 r. C 360/49, PiP 9—10/1949, s. 159—160).

PRZEBACZENIE

„W przebaczeniu małżonka mieści się oświadczenie o „puszczeniu w niepamięć” przewinień drugiego małżonka. Następuje ono jednak nie przez sam fakt przebaczenia i pojednania się małżonków, lecz przez to, że z czasem związek przyczynowy między przebaczonymi uchybieniami a wzajemną postawą małżonków i stanem ich pożycia przestał istnieć. Z samego faktu przebaczenia nie wynika jeszcze, jakoby w żadnym razie przebaczone uchybienia nie mogły się już w rozumieniu art. 29 § 1 k.r. przyczynić do późniejszego rozkładu" (OSN 114/1959) (...)

„Przebaczenie małżonkowi obrazy lub brutalności przez drugiego małżonka następuje w zasadzie pod warunkiem poprawy" (orz. SN z dn. 8 XII 1951 r. C 259/51, NP 5—1953, s. 81). (...)

„Kodeks rodzinny nie zna instytucji przebaczenia i jak to SN wielokrotnie już wyjaśnił, czyny tzw. przebaczone powinny być zawsze w procesie rozwodowym oceniane pod kątem widzenia ich związku przyczynowego z rozkładem pożycia" (OSN 95/1956).

Zdzisław Krzemiński, Wł. Żywicki
Rozwód (Komentarz, orzecznictwo, przepisy związkowe — Według stanu prawnego na 1 stycznia 1961 r.)

Wydawnictwo Prawnicze, W-wa 1961
(Wybór fragmentów dokonany przez Redakcję programu)



SZEWCY — *Stanisław Ignacy Witkiewicz*, reżyseria: *Maciej Prus*, scenografia: *Łukasz Burnat*

KUCHNIA — *Arnold Wesker*, przekład: *Kazimierz Piotrowski*, adaptacja i reżyseria: *Janusz Warmiński*, scenografia: *Wojciech Sieciński*

GYUBAL WAHAZAR — *Stanisław Ignacy Witkiewicz*, reżyseria: *Maciej Prus*, scenografia: *Krzysztof Pankiewicz*

WSPÓLNIK — *Friedrich Dürrenmatt*, przekład: *Zbigniew Krawczykowski*, reżyseria: *Janusz Warmiński*, scenografia: *Wojciech Sieciński*

FANTAZY — *Juliusz Słowacki*, reżyseria: *Maciej Prus*, scenografia: *Marcin Stajewski*

HYDE PARK — *Adam Kreczmar*, reżyseria: *Zdzisław Tobiasz*, scenografia: *Wojciech Sieciński*, muzyka: *Jerzy Andrzej Marek* — SCENA 61

AMERYKA — *Franz Kafka*, przekład: *Juliusz Kydryński*, adaptacja, reżyseria i scenografia: *Jerzy Grzegorzewski*, muzyka: *Stanisław Radwan* — SCENA 61

SKORO GO NIE MA — *Tadeusz Peiper*, reżyseria: *Janusz Warmiński*, scenografia: *Wojciech Sieciński* — SCENA 61

Przedstawienie prowadzi

Kontrola tekstu:

Kierownik techniczny:

Główny elektryk

Elektroakustyk:

Kostiumy wykonano pod kierunkiem:

Kierownik malarni:

Kierownik pracowni modelatorskiej:

Kierownik pracowni

fryzjersko-perukarskiej:

Kierownik pracowni stolarskiej:

Kierownik pracowni tapicerskiej:

Brygadier sceny:

Ryszard Kłakowicz

Teresa Brzostowska

Ryszard Krejbich

Krzysztof Kozłowski

inż. *Józef Pindelski*

Władysław Hrybka

i *Henryki Krze-*

wickiej

Antoni Poroś

Antoni Wiśniewski

Janina Chmielińska

Leon Tyszuk

Wojciech Chojnacki

Roman Pokorski

Redakcja programu

ZBIGNIEW KRAWCZYKOWSKI

Opracowanie graficzne

ZENON JANUSZEWSKI

Redakcja techniczna

WŁADYSŁAW JANISZEWSKI

Wydawca

TEATR „ATENEUM” W WARSZAWIE

U W A G A: Widzowie przyjeżdżający na przedstawienie samochodami osobowymi mają prawo do bezpłatnego korzystania z parkingu strzeżonego znajdującego się przy Teatrze. Do wjazdu na parking i parkowania wozu podczas przedstawienia upoważnia okazanie ważnego biletu wstępu.

Wydawnictwo
Książki
i
Czasopiśmi
1974

Wydawnictwo
Książki
i
Czasopiśmi

Wydawnictwo
Książki
i
Czasopiśmi

Wydawnictwo
Książki
i
Czasopiśmi
1974

Cena zl 6.—